

Widziane z Montrealu

TAM GDZIE SĄ LWY

„Przez wiele lat nasz kraj oferował wszystkim nowoprzybyłym, wszystkim imigrantom wizję życia, która, jak widać, jest w dużym stopniu odrzucana.” Jest to być może najczęściej cytowany fragment przemówienia premiera Wielkiej Brytanii Davida Camerona na konferencji w Monachium dotyczącej bezpieczeństwa wewnątrz Unii Europejskiej. Idąc tym śladem premier dorzucił: „Przez ten cały czas tolerowaliśmy zamknięte i wewnętrznie segregowane społeczności zachowujące się w sposób jawnie przeczący naszym wartościom.” Jediną możliwą receptą zdolną przerwać łańcuch błędów jest - nie tylko zresztą wg. niego – nowy „aktywny i asertywny liberalizm.” Od dawna zresztą wiele ruchów konserwatywnych trąbi na odwrót. Zachodnie (w domyśle „białe”) kraje powinny skończyć z postawą przeproszania za wszystko. Tym razem za słowami p. Camerona poszły czyny. Oto rząd Zjednoczonego Królestwa zdecydował się wycofać dotacje dla wszelkich stowarzyszeń i organizacji etnicznych, które tolerują lub wręcz propagują podtrzymywanie takich „tradycji” zza oceanu jak n.p. wpłacanie posagu za żonę (de facto – kupowanie jej u rodziców) lub też zwyczajowe „prawo” do karania nieposłusznym kobiet wiodące często do t.zw. „zabójstw w obronie honoru”. Jeśli w Kanadzie przez ostatnie dziesięć lat straciło w ten sposób życie 13 kobiet, to w Anglii liczba ta jest dziesięciokrotnie większa. Mówiąc o sposobach tutejszych władz kanadyjskich na przeciwdziałanie przemocy w rodzinie warto n.p. wymienić działające w Albercie Stowarzyszenie Kobiet Hindusko-Kanadyjskich, które zobowiązuje się utrzymywać schroniska dla bitych i poniżanych córek czy narzeczonych ze środowisk hinduistycznych. Jest jasne, że prędzej czy później musi dojść do kolizji z taką czy inną rodziną, która poprzez swoich adwokatów będzie chciała udowodnić przed sądem, że działania kanadyjskich organizacji pozarządowych rozbijają spójność ich rodzin – już nie mówiąc nawet o niszczeniu tradycji. Tym niemniej federalna minister d.s. Statusu Kobiet pani Rona Ambrose z góry uprzedza, że na „kanadyjską otwartość i tolerancję nie mogą liczyć osoby chcące kontynuować takie barbarzyńskie praktyki jak n.p. „wymuszane małżeństwa” i „honorowe porachunki rodzinne”. Co ciekawe, nawet najbardziej skrajne ugrupowania muzułmańskie i hinduistyczne nie nawołują jakoś aby ich rodacy urażeni przez Kanadę w ich uczuciach religijnych masowo powracali do krajów pochodzenia. Nieustają natomiast ich wysiłki aby przystosować – a w istocie przemodelować – kraj naszego osiedlenia tak aby poczuć się jak u siebie. Niestety, na ogół chrześcijaństwo – ani w Europie ani poza nią – nie odznaczają się podobną nieustępliwością.

Dawno, dawno temu w czasach moich krótkich studiów w USA zdarzyło mi się spotkać pastora jednego ze skrajnych kościołów protestanckich; teraz byśmy go nazwali fundamentalistą. Był on wtedy w trakcie przygotowywania akcji głoszenia słowa bożego w dżunglach Amazonii oraz w sercu Afryki. Wyglądało to tak. Kilka samolotów wyruszało w tamte okolice aby zrzucić nad siedzibami upartych pogan paczuski z magnetofonami z repertuarem wszystkich czterech Ewangelii w językach lokalnych. Kiedy spytałem amerykańskiego misjonarza jaki jest tego cel, ten odpowiedział mi z uśmiechem. „Robimy to po to aby na sądzie boskim ich dusze nie mogły się tłumaczyć, iż nie dotarło do nich słowo Jezusa”. Z drugiej strony bardziej trafia mi do przekonania opinia pewnego jezuitę z Polski, że jeżdżenie na misje za siedem mórz jest wprawdzie szlachetnym, lecz bardzo kontrowersyjnym wysiłkiem. Przecież ostatnio łatwiej spotkać prawdziwego, autentycznego poganina pod nosem - na tej samej klatce schodowej w Warszawie czy Paryżu. Skądinąd wiadomo, że jedynym kontynentem na którym chrześcijaństwo (także w wydaniu katolickim) dalej notuje przyrost wiernych jest właśnie czarna Afryka. W zeszłym roku telewizja France 24 nadała reportaż o szczęśliwym zakończeniu poszukiwania

proboszcza mającego prowadzić parafię katolicką gdzieś w środkowej Francji. Nowy proboszcz pochodzi z odległego afrykańskiego Kamerunu. Takim oto zrządzeniem bożym historia cywilizacji chrześcijańskiej w tym miasteczku zatoczyła po 150 latach koło. W ostatnich tygodniach w naszej prowincji Quebec odżyła z powrotem kwestia symboli i zachowań religijnych w miejscach publicznych. Oto burmistrz miasteczka Saguenay w północnowschodnim Quebecu Jean Tremblay potwierdził w obecności mediów, że on i wielu innych członków rady miejskiej tuż przed rozpoczęciem obrad recytują krótką modlitwę. Czynią to pomimo faktu, że niedawno z wyroku sądu byli zmuszeni zapłacić 30 tysięcy dolarów odszkodowania ateistom zrzeszonym w ruchu Mouvement Québec Laique. Dziwnym zbiegiem okoliczności w zeszłym miesiącu w prowincjonalnym Zgromadzeniu Narodowym w Quebec City podjęto prawie jednogłośnie uchwałę o pozostawieniu na ścianie sali obrad krucyfiksu zawieszono tam przez arcykatolickiego premiera Maurice'a Duplessis w odległym roku 1936. Część komentatorów zaznacza, że głosowanie mogłoby mieć zupełnie inny wynik gdyby nie ostatnie pięć lat obfitujące w naciski ze strony przyjezdnych – głównie muzułmanów. Tym razem deputowani stanęli na wysokości zadania. Niestety, jak można się było spodziewać, lewica i feministki często broniące praw religijnych muzułmanek, w kwestii zagrożenia historycznych symboli chrześcijańskich i quebeckich nie chcą nawet kiwnąć palcem. Znając tutejszą tradycję szaleńczej „postępowości” publicystka „National Post” Barbara Kay komentując decyzję parlamentu quebeckiego ucieka się do żrącej ironii: „Utrzymywanie w sali obrad obecności krzyża jest dobrym sposobem, aby każdy wiedział, że religia, w którą Quebecy już nie wierzą jest jedynym oficjalnym wyznaniem, w które wypada nie wierzyć.”

W ostatnim półroczu, jak podały polskie pracownice sondujące opinię publiczną, zainteresowanie Polaków co do spraw dziejących się poza granicami naszego starego kraju spadło o kilka procent. Nawet egipskie niepokoje zakończone przejściem władzy w tym kraju przez wojsko, polskie media masowe rozpatrywały głównie w kontekście niewygody dla turystów znad Wisły wybierających się na złociste plaże Sharm el-Sheikh czy Hurghady. Otoczenie tych dwóch kurortów pancernym pierścieniem sił bezpieczeństwa polskie agencje podróży powitały jako optymistyczny sygnał. Można się opalać; reszta nas nie obchodzi. Zresztą, przykładów egocentrycznej zaściankowości narodowej jest we współczesnej polskiej świadomości zbiorowej daleko więcej. Pewien duchowny z Pomorza w czasie kazania uznał za stosowne robić wyrzuty prezydentowi USA Barakowi Obamie, że ponoć wołał on grać w golfa niż uczestniczyć w krakowskim pogrzebie śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Podobno też, jeśli wierzyć prasie z Polski, połowa Włochów była wstrząśnięta tragicznym wypadkiem Kubicy na torze wyścigowym. Niemcy znowu stały się modne; wiadomo dlaczego – od 1 maja nasi rodacy będą tam mogli legalnie szukać zatrudnienia. Dla kontrastu - nie tak wiele osób wie, że zgodnie z harmonogramem unijnym od 1 lipca Rzeczpospolita Polska przejmuje prezydencję Rady Unii Europejskiej, jednego z jej najważniejszych organów. A szkoda.

W okresie poprzedzającym odkrycia Krzysztofa Kolumba na skraju map średniowiecznego świata obejmującego Europę, północną Afrykę i połowę Azji widniały często dziwaczne rysunki fantazyjnych egzotycznych zwierząt i potworów. Owo NIEZNANE i niezbadane opisywano też zwięzłym napisem łacińskim: HIC SUNT LEONES t.zn. „Tu są lwy.” Mimo tego ostrzeżenia Kolumb się znalazł.

Michał Stefanski